

● JUBILEUSZ AKTORA ● ŚMIESZNY „CHORY Z UROJENIA” ● TRAGIZM KOMIKA ●

NIEDZIELA

W Teatrze Polskim „Chory z urojenia“ Moliera, wystawiony z okazji pięćdziesięciolecia pracy aktorskiej Tadeusza Fijewskiego.

Lubię tę sztukę. Pełno w niej śladów wczesnej farsy francuskiej i komedii dell'arte. Lubię pozorną jej bez troskę, a zarazem nieprosty sarkazm, polegający na tym, żeby z chorego z urojenia zrobić lekarza. I oto Argan podnosi dwa palce. „Iuras praezstrzegare statuta per Facultatem praescripta cum sensu et roztropnością?“ — pyta go promotor. „Iuro“ — odpowiada Argan.

Przy trzecim „iuro“, w dniu 17 lutego 1673 roku, Molier, który grał Argana, zakrztusił się krwią i w niespełna godzinę później zmarł. Od tego czasu sztuka obrosła szczególną tradycją. Niektórzy inscenizatorzy, zamiast podkreślać jej farsowość — jeżeli już koniecznie trzeba, jej ponurą farsowość — po tamtym wydarzeniu każą Arganowi być chorym naprawdę i naprawdę umierać, starając się w ten sposób związać sztukę z losem autora. Ale ironia sprawy polega na tym, że takich związków nie ma, że Molier wprawdzie był bardzo chory, kiedy tę sztukę pisał, pisał jednak farsę, nie autobiografię, i jedynie przypadek zdarzył, że grając w „Chorym z urojenia“, umarł.

Wanda Laskowska, reżyser przedstawienia w Teatrze Polskim, wystawiła rzecz zgodnie z intencjami autora, jako zabawną sztukę karnawałową (na karnawał była napisana), z tańcami i śpiewami, z Poliszynem i Kolombiną. Farsowy jest tu też Fijewski w roli Argana. W czepku na głowie i w wielkich papuciach na nogach przemierza scenę kaczym chodem. Jest śmieszny przede wszystkim. Oto błazen, oto chory z urojenia! Ale nie tylko. I tu się zaczyna sprawa osobowości Fijewskiego. Ten aktor, niejako niechcący, wnosi na scenę tragizm. Nie znam ani jednej jego roli, w teatrze, filmie czy telewizji, pozbawionej tej nuty (z osławionym Anatolem w filmach Rybkowskiego włącznie). Oczywiście, tak też o Chaplinie można mówić, i Tatim, i o nieodżałowanym Kobieli. Tymczasem Fijewski jest odmienny, daje więcej z samego siebie. Akcenty własnego człowieczeństwa są w nim silniejsze. Poza tym, czuje się u niego w silniejszym stopniu, niż u innych komików, wielkiego aktora dramatycznego.

Pamiętam prawie całą drogę Fijewskiego. W teatrze nie zapomnę postaci Gogo w „Czekając na Godota“ Becketta. A w kinie pamiętam jeszcze „Zew morza“, gdzie Fijewski grał rolę bohatera z lat dzieciennych, pamiętam go jako gazetciarza w „Legionie ulicy“ i Bronka w „Ulicy Granicznej“. W związku z tymi rolami i następnymi, jak np. rola pana Władzia w „Pętli“ czy pana Rzeckiego w „Lalce“, trzeba też mówić o populistycznych cechach sztuki Fijewskiego.

Jego biografia zresztą je wyjaśnia. „Na scenie stanąłem po raz pierwszy w roku 1921 — powiedział aktor w jednym z wywiadów. — Było to przedstawienie «Chorego z urojenia» w Teatrze Polskim, z Aleksandrem Zelwerowiczem w głównej roli. W dosyć osobliwy sposób doszło do tego mojego występu... Otóż na Powiślu mieszkał masyzynista teatralny, któremu polecono rozejrzeć się za statystami. Przeprowadził on werbunek wśród chłopców z podwórka — i kandydaci, wraz ze mną, powędrowali do teatru. Okazałem się najlepszy. I już pozostałem na scenie“.

ALEKSANDER JACKIEWICZ
